Rozmaitości

Dnia 25. Listopada **Nr 47.** 1837 Roku.

P S Y, WOJSKO POSIŁKOWE FRANCUZÓW W ALGIERZE.

Skoro żołniérz we Francyi otrzyma rozkaz udania się do Afryki, zaraz sobie złote góry obiecuje, marzy o zupełnie nowém romantycznem życiu, cały Wschód ze wszystkiemi wdzięki i nudami staje mu przed oczyma, przywodzi sobie na myśl Egipt, Napoleona, widzi same tajemnicze seraje i bogato ozdobnych, rycerskich Mameluków; tym sposobem rojąc o rozkoszach i sławie, zapomina o rzeczywistéj biédzie, która go tam czeka. Po upływie kilku tygodni nikną te urocze omamienia; poznaje on, iż życie w tamecznych koszarach, nie jest lepsze, niż gdzie indziéj. Ale gdy Algiér, przynajmniéj dla ciekawych, jest niejaką przedstawą ruchu kwatéry głównéj, jakże pożałowania godni są ci żołniérze, których pułki stoją załogą po bezludnych miejscach wewnątrz kraju lub w małych przyładkach, przysposobionych dla obrony osady!

Tak miasto Budzyja, zajęte przez wojska francuzkie, uważane jest za jedno z najważniejszych stanowisk, w którém ciągle zostaje znaczna załoga dla odparcia napadających na nie pokoleń nieprzyjacielskich. Tu daje się widzieć żołniérzowi francuzkiemu cała ciérpkość odosobnionego życia, którą zwykle dopiéro po długiém doświadczeniu poznajemy. Tu, gdy już żołniérz wypełnił wszystkie powinności swoje, czeka go tak wielka bezczynność i tak nieznośne unudzenie, że mu każda chwila wiekiem się być zdaje; nié masz tu żadnéj z owych rozrywek albo zabaw codziennych, których najmniejsze miasteczko we Francyi tak łatwo dostarcza, tu żołniérz jest we wszystko tak usamotniony, iż sobie życzy, przez dzień cały raczéj w służbie zostawać, niż z każdą chwilą w głębszą nudę tonąć. Wszelako niebezpieczeństwo, które bez ustanku zagraża, walki, których codziennie się spodziéwa, i kule z nienacka po nad głowę gwiżdżące, wynagradzają po części tę smutną dolę i sprawiają, iż Budzyja dla żołniérza znośniejsza jest, niż inne miasto. W piérwszych latach zajęcia tego miasta, gdy nieprzyjaciel nieustanie co nocy przednie straże napadał, i kulami swémi naszych żołniérzy sięgał, nie można było prawie nigdy schwytać niewidomego i w tak nikczemny sposób walczącego z nami nieprzyjaciela, a załoga zdradziecko i bezkarnie zaczepiana, nie była zapewne bardzo liczną, kiedy Arabowie odważali się na samotnych żołniérzy naszych uderzać i zdejmując im głowy z karków, nieść je jako trofea w swe namioty. Utarczki te gubiły nam wielu ludzi; jakoż pośród nocy nie można było pójść w pomoc napadniętym, ponieważ się zawsze w tyle zasadzki obawiano; przemyśliwano więc, jakimby sposobem można zapobiédz niespodzianym odwidzinom Arabów; nareszcie obrano sposób, który zdawał się być najpewniejszym i najnaturalniejszym.

We wszystkich miastach mahometańskich znajduje się wielka ilość psów, które do żadnego Araba nie należą pojedyńczo, ale są własnością wszystkich; każdy mieszkaniec daje im pożywienie, i z każdego obiadu chowa dla nich ostatki. Nikt nie waży się zaczépiać téj zgrai psów wałęsających się, ale też nikt się o nich nie troszczy. Francuzi przez dobre z nimi obchodzenie się, znęcili wkrótce kilku tych woluntaryjuszów do siebie i starali się

ich ułaskawić; co większa, ponauczali ich przez długą wprawę rozmaitych, zabawnych popisów, któremi się wyszczególniają najucywilizowańsze psy w francuzkiém i europejskiém towarzystwie. I tak niektóre psy na pewne dane znaki umiały już na wykrzyk: *Vive l'Empereur!* skoczywszy w górę, zaszczekać radośnie, a na wspomnienie Abd-el-Kadera, zawarczéć i wyszczérzyć zęby. Biédne zwiérzęta te wywdzięczały się żołniérzom naszym za chléb komiśny takiém przywiązaniem, jakiego wprzódy nigdy dla swoich dawnych panów nie okazywały; a to z tego powodu, ponieważ Muzułmanie hodowali je wprawdzie, ale ich nigdy nie głaskali i żadnych pieszczotnych uczuć ku nim nie okazywali.

Psy biegły często za swemi przyjaciołmi, gdy ci dla pełnienia służby z koszar wychodzili, lub na odległych stanowiskach na straży stali. Tu dopiéro pokazało się dokładnie, jaką te źwiérzęta swoim dziwnym instynktem świadczyć mogły przysługę. Gdy się do straży Francuz zbliżał, psy zaszczekały krótko, ale głośno, i zapowiadały jego przybycie; jeżeli zaś jaki Kabyl zakraść się do nas ośmielił, psy zaczynały wyć przewlekło, przeraźliwie, i rzucając się prosto na nieprzyjaciela, oznajmiały naszym żołniérzom, gdzie było niebezpieczeństwo.

Użyteczność tych zupełnie nowych wójsk posiłkowych okazała się tak rzeczywistą i tak była powszechnie uznaną, iż postanowiono przydzielić z nich pewną ilość do każdego oddziału i zaopatrywać je w żywność regularnie. Podano w téj mierze prośbę do ministra, ale ten nie przyzwolił, utrzymując, iż podobne urządzenie mogłoby przywieść na myśl, że Francuzi chcą odnowić okrucieństwo Hiszpanów w Peru. Wszelako nie śmiano ujmować im wyznaczonéj części jadła, na którą sobie przez waleczną służbę zasłużyli, i każdego poranku przy rozdzieleniu żywności, chowają dla nich dotychczas należną im cząstkę.

Pewien młody woltyżer, nazwiskiem Bachard, wsławił się osobliwie, przez swoje przywiązanie do jednego z tych nowych sprzymierzeńców. Azor, takie dał mu nazwisko, był niezawodnie najpośledniejszym między potomkami swego rodzaju. Łatwo sobie wystawić można, że psy biegające obławą, nie chowają w czystości swojéj rasy; ale Azor z nich wszystkich, z najpośledniejszych mieszańców, był najpośledniejszym wyrodkiem. Wszelako Bachard powziął ku niemu przychylność nadzwyczajną, jakoż nawet szczęściem było dla niego, że w wychowaniu Azora znalazł zatrudnienie, w którém długie, bezczynne dni, jakkolwiek weseléj mu zbiegały. Azor nie należał do tych rzadkich, wyszczególniających się uczniów, ktorzy zaraz z początku z łatwością naukę swego nauczyciela pojmują; nie raz jego duch uporczywy sprzeciwiał się nowym nauki zasadom; ale nauczyciel cierpliwy wpoił je w niego, bądź łagodnością i nagrodą, bądź też czasem i kijem; za to też Azor był wiernym i przywiązanym ku Francuzóm, a zażarty nienawiścią ku temu wszystkiemu, co turban nosiło; nade wszystko uniform był dla niego przedmiotem wielkiego uszanowania; wodząc łaskawie długim, kudłatym ogonem, witał w najprzyjemniéjszy sposób każdego wojskowego. Jakoż przepomniéć nie możemy, iż z filozoficzną obojętnością, jakiéj rzadko gdzie znaleźć, mało zważał na różnicę stopni wojskowych, i w każdym uniformie francuzkim, jakiekolwiek były jego hafty, szlify, epolety, widział tylko Francuzą, a bynajmniéj dostojność znaczenia.

Każdą razą gdy długa psów obława defilowała przed koszarami piechoty, patrzano z miłém zadziwieniem, jak jeden z tych kundlów, usłyszawszy nazwisko Azor, którém go z dziedzińca zawołano, odłączył się od zgrai i z najżywszą radością czém prędzéj do młodego poskoczył woltyżera, który uściskawszy go z uniesieniem i ugłaskawszy oczyścił go z błota, którém się Azor, uganiając w swych wycieczkach z kolegami, bez wszelkiéj przyzwoitości obwalał. Ale wtedy musiał Azor słuchać długiéj i napominającéj perory, któréj prawda, że nie pojmował, jednakże słuchał jéj z tak nieprzerwaną uwagą, iż się zdawało, jak gdyby ją dokładnie rozumiał. Równie zadziwiającém było przywiązanie żołniérza, który odbywszy swe powinności, każdego rana usiadł sobie zwykle na jedném miejscu i przyzwawszy do siebie swojego przyjaciela, trawił z nim cały czas, który sobie od wojskowéj służby oszczędził. Biédny Bachard, który się na żołniérskim stanie tak boleśnie omylił, który sobie stan ten tak pięknym, tak zaszczytnym wystawiał, jakże on się na

nim zawiódł, jak cel życia swego zmienił, kiedy się do swego przyjaciela Azora, jako do ostatniéj swojéj ucieczki, całą swą duszą przywiązał! Stan ten nie był bynajmniéj takim, jaki mu stryj jego, stary sierzant cesarski, mówiąc o żołniérzach wielkiéj armii, opisywał. Bachard, dziécię paryzkie, miał zaledwo lat ośmnaście, i od roku zostawał w służbie. Przesycił on się w krótkim czasie tém jednostajném, próżniackiém życiem, które gawiedzi ulicznéj w Paryżu, rozkoszném być się wydaje, i poznawszy je dostatecznie, bez namysłu porzucił. A gdy matka do niego rzekła: »Słuchaj synu, jakeś mnie wprzódy martwił nie chcąc być rzemieślnikiem, tylko próżniakiem, tak teraz gryziesz mię jeszcze bardziéj, chodząc zawsze smutnym i zadumanym.« Bachard odrzekł tylko te słowa: »Nie troszcz się matko, ja cię dłużéj martwić nie będę, bo cię opuszczę. Nie chcę być rzemieślnikiem! Zostanę żołniérzem, i będę jak mój stryj walecznym; zasłużę sobie, jak on, krzyż i pensyją dożywotnią, i wszystko oddam tobie matko, byś na starość nie pracowała i żyła bez trosków.« W kilka dni poźniéj zaciągnął się Bachard do pułku, który miał do Afryki odpłynąć, mniemając, że się zaraz dostanie do boju i na człowieka wykieruje; lecz go zostawiono w oddziale odwodowym dla ćwiczenia się w broni. Poźniéj dostał się do batalijonu wojennego, i odtąd, jak powiadał, mimo swego największego do sławy zapału, nie miał nigdy szczęścia spotkania się z nieprzyjacielem, i musiał na tém poprzestać, iż mu czasem kilka kul koło uszu gwizdnęło, i że z nudów umiérał w Budzyi. Bachard wystawił sobie sławę całkiem inną. Zważywszy tak smutny stan umysłu tego młodego żołniérza, łatwo można pojąć jego serdeczne przywiązanie do swego nowego przyjaciela, a choć nawet z tego powodu nie raz doznawał szyderstwa i przycinków od swoich towarzyszy, jednakże w Azora wzajemności znajdował dla siebie dostateczną pociechę i wynagrodzenie.

Kompanija, do któréj Bachard należał, właśnie była dostała rozkaz udania się do małéj twierdzy Maldoub, o jednę milę od miasta, dla zluzowania kompanii grenadyjerów, którzy już tam od tygodnia stali. Wiedzieć potrzeba, że to stanowisko, na którém wielu walecznych już poległo, będąc bardzo oddalone od miasta i pozbawione wszelkiéj pomocy, dla częstych, zdradzieckich napadów było bardzo niebezpieczne. Arabowie obrali je za cel swoich najazdów, wiedząc, iż w przypadku klęski mają odwrót bezpieczny, a w razie zwycięztwa mogą z wszelką dowolnością kaléczyć swe ofiary.

Nie raz, gdy żołniérze przyszli straż zluzować, już jéj nie zastali na swojém stanowisku, albo znajdowali tylko strasznie pokaleczony tułów i kawałki z uniformu. Arabowie bowiem zawsze zabiérają z sobą zdobytą broń i odrzynają głowy. Ztąd owa przezorność woltyżerów, gdy się wybiérali do obrony tego niebezpiecznego stanowiska; z jakąż troskliwością czyścili wtedy broń i chędożyli strzelby! Cienki koniec bagnetu okazywał, że dopiéroco świéżo był naostrzony. A gdy skończono wszelkie przygotowanie, i gdy się zupełnie uzbrojono do mężnego odporu, wtedyto dawał się słyszéć huczny okrzyk radości; zdawało się, jak gdyby żołniérze szli na ucztę jaką, nie zaś na stanowisko, gdzie jak grad kule padać miały. Wtedyto i psów nie zapomniano, które zawsze obok trębacza na czele maszerowały. Psy, których grenadyjerowie mieli przy sobie, wyszły z niemi na powrót; ale i woltyżerowie mieli także kilka bardzo przywiązanych do siebie, które ich nie opuszczały. Zdawało się, że wierni ci sprzymierzeńcy zrozumieli, iż się od nich przysługi domagano, a wesołe ich skoki okazywały, że na wszystko byli gotowi.

Już długi czas zostawała kompanija woltyżerów w Maldoubie, a nad wszelkie spodziéwanie, nie była niepokojoną; najmniejszy zgiełk nie przerwał spokojności żołniérzy. Widziano ich, jak pośród tak ciasnéj twierdzy, iż się w niéj zaledwo zmieścić mogli, spędzali czas na rozmaitych zatrudnieniach; każdy dla ulepszenia swego bytu, dla przyjemności lub wygody życia utworzył dla siebie nowy przemysł. Osobliwsza i zadziwiająca ta czynność francuzkiego żołniérza, który wszędzie, dokąd przychodzi, przynosi z sobą kunszta i cywilizacyję, przedstawia wielką sprzeczność z widokiem okolicy, tak pustéj i dzikiéj, jak i naród w niéj zamieszkały.

Maldoub leży na płaszczyznie wysokiéj skały, i pomimo pracy korpusu inżynierów,

nie okazuje zewnątrz owéj regularności, jaka się w budowie naszych twierdz zwykle znajduje. Okolicy zbywa na roślinności, jak i na wodzie, którąby ją użyźniała; ziemia jest miejscami spadana i w urwiska wydrążona, jak gdyby gwałtownego wstrząśnienia doświadczyła, a ogorzała jej barwa odpowiada pojedyńczym, zwiędłym roślinom, które ku ziemi nachylone, żałośnie wody pragną, która ich prawie nigdy nie odwilża. A jednak pośród téj nawet obumarłéj przyrody i pod tą gorącą strefą, nie opuszcza Francuzów wrodzona ich wesołość; w twierdzy równie jak gdzie indziéj, żołniérz francuzki w żarty okwity, umié jeden drugiego zabawić i leniwą tęskność wesołością spłoszyć.

»No, Bachardzie!« zawołał sędziwy woltyżer, którego siwe wąsy okazywały długi szereg lat, w służbie spędzonych, »o godzinie dziesiątéj pójdziesz na czatę najodleglejszą; pamiętaj, jestto niebezpieczne stanowisko, strzeż się Beduinów, bo to są przeklęte czarty i najżarłoczniejsze wilki na téj całéj wyspie!«

»Od czasu jak tu jestem, nie widziałem jeszcze aby jednego z tych jataganów, o których tak wiele rozprawiacie, utrzymując, że tak lekko głowy z karków ścinać umieją. Dotychczas nie widziałem Arabów, tylko na targowisku, gdzie kapustę sprzedają; jednakże mam w sobie tyle odwagi, iż się spodziéwam, że prędzéj inną, niźli moję zaczepią czatę. Z resztą, wiadomo ci Jary, że się żaden z nich dotychczas nie pokazał; dla czegożby właśnie teraz, gdy ja na czatach stanę, miał się pokazać.«

»Ba, ty nie wiész, Beduini lubią bardzo świeżyznę; patrz, powiedzą, to jakiś młody, czérstwo rumiany wojak, nie tak stary, jak ów Jary, który na nas tak strasznie zawzięty, a w żonach naszych tak mocno rozkochany. Nie słyszałeś nic o miłostkach moich w Algierze, o téj pięknéj kadyni przy ulicy *Bab-Azun*? Daj go katu! to mi była kobiéta; trzy razy tak otyła, jak najotylsza Paryżanka. Słuchaj, bije dziesiąta.«

»Numer szesnasty!« zawołał kapral.

»Jestem!« odrzekł Bachard, zdjął strzelbę z kołka, spojrzał czy proch na panewce, gwizdnął na Azora i pospieszył na czaty.

»Pamiętaj chłopcze, miéj baczność na Beduinów, bo to są białe niedzwiedzie, które na czterech, rakiem się podsuwają, pamiętaj to sobie!«

Niebawem coraz słabiéj i słabiéj słychać było ciężki odtęt kroków odchodzącego patrolu, a Jary zaczął daléj z niejakiém wzruszeniem, czego nigdy nié miał w zwyczaju, prowadzić swoję mowę: »Waleczny to chłopak, ten poczciwiec Bachard, jeszcze wprawdzie młody, niedoświadczony, lecz za dziesięciu stanie. Życzyćby należało, aby rząd samych takich przysyłał rekrutów! No, chłopcy, o dziesiątéj godzinie mamy zwykle odpoczynek, teraz posprzątajcie w pokojach, a potém pokładziemy się w nasze miękkie puchy. Jakże tam Alzaczyku, czy nie słyszałeś, że masz tornister na kołku powiesić, a sam się na słomę położyć?«

Jeszcze nie skończyli byli żołniérze uprzątać w swych izdebkach, a już usłyszeli wystrzał, i zaraz po nim krzyk, który dla wielkiéj odległości tylko bardzo słabo obił się o uszy żołniérzy, będących w twierdzy.

»Daléj dzieci, do klarynetów!« krzyknął wąsaty Jary i pochwycił swoję ciężką rusznicę. »Idę o zakład, że to Bachard wystrzelił; ja dziś z niego żartowałem i nie godziwiem sobie postąpił, bo to wiedzie nieszczęście!« Stary żołniérz wypadł czém prędzéj z twierdzy i ruszył spieszno w miejsce wystrzału, na czele swych towarzyszy. Straże, stojące jak wmurowane na swoich czatach, potwierdziły, że wystrzał dał się słyszeć w kierunku czaty Bacharda, poczém Jary z towarzyszami podwoił kroki dla dania mu pomocy. Wkrótce dostali się na mały wzgórek, gdzie Bachard stał na pikiecie, ale już go nie było.

»Do sto piorunów! *Sacre milles chiens!*« krzyknął Jary i wypalił z swojéj rusznicy; »tam widzę coś białego, to zapewne Beduin jaki.« I w saméj rzeczy, ugodzony od jego kuli potoczył się Arab na ziemię. Kilku Kabylów w mniemaniu, że będą mogli zdławić straż bezkarnie, widząc się spostrzeżonémi, umykali w różnych kierunkach, ale szybsze kule dosięgły ich w odwrocie. W czasie, gdy jedna część oddziału pogoniła za Arabami, Jary w towarzystwie z drugimi szukał Bacharda, o którym sądził, że leży gdzie zraniony; nareszcie jeden z nich spostrzegł w ciemności czerwone pantalony, i znalazł rozciągnione na ziemi ciało; na wydany krzyk, zbiegli się

do niego wszyscy towarzysze, a on zgrozą osłupiały, pokazał im w milczeniu łułow bez głowy.

Gdy wszyscy na ten widok smutkiem przejęci stanęli, u podnóża góry dało się słyszéć straszliwe psa szczekanie. Gdy wzrok w tę stronę zwrócili, ujrzeli, że pieś z wściekłą zażartością rzucił się na Araba, który się był skrył przed nimi. Pies z największą wściekłością skoczył ku niemu, ale Arab nie ustąpiwszy ni kroku, zadał mu jataganem głęboką ranę i zagroziwszy mu nowym zamachem, odpędzał go od siebie. Nieustraszony pies ponawiał swoje natarcie, zdawało się, iż mało dbał na ból swéj rany, byle tylko zgubił nieprzyjaciela. Nareszcie rozpędziwszy się z daleka, wskoczył na Araba i pochwyciwszy go za gardło, obalił na ziemię. Tu dopiéro rozpoczęła się walka o śmierć lub życie; boleśny jęk człowieka, zmieszany był z okropném wyciem psa zażartego; widać było jak się jeden pod drugiego staczał, raz się wydobył Arab na wiérzch i ugodził nożem swojego przeciwnika, raz znów pies wziął przewagę, i wtedy tylko przestawał warczéć, gdy szarpał to twarz, to gardło swojemu przeciwnikowi. Żołniérze chcieli położyć koniec téj utarczce i wypalić w Araba; już byli nabili swoje strzelby, już śmiertelne groty wymierzyli do obu walczących, gdy oto krzyknął Jary: »Stójcie bracia! to nasz Azor, nie strzelajcie, moglibyści śmierć mu zadać! Przeszyjemy bagnetem Beduina.«

Woltyżery pomimo spiesznego biegu, przybywszy na miejsce, zastali już bez duszy Araba; pies porozrywał mu wszystkie żyły w gardle. Azor chociaż ciężko pokaleczony, nie będąc w stanie utrzymać się na nogach, pociągnął zębami za sakwę z pod płaszcza Araba, a głowa Bacharda potoczyła się pod nogi jego towarzyszy. Azor utratą krwie osłabiony, padł na ziemię obok swojéj ofiary!

Teraz wrócili i drudzy towarzysze z swojéj pogoni, między nimi znajdował się młody mężczyzna, który, że był wojskowym chirurgiem, poznać to było po aksamitnym kołniérzu jego uniformu. »Stój majorze, dobrze, żeś przyszedł!« zawołał do niego Jary; »któż nie wie, że jesteś dobrym, litościwym; ponieważ z nas nikt nie jest rannym, bądź tak łaskaw i opatrz tego psa, który tak walecznie się spisał.«

Chirurg, opatrzywszy psa z największą uwagą, rzekł: »Ciężko raniony, lecz przyjdzie do siebie; rany jego nie są śmiertelne, jednakże trzeba mu odjąć jednę nogę, która oprócz tego, jakby prawie całkiem odcięta!«

»A my bracia,« rzekł ze łzami Jary; »pogrzebmy tymczasem biédnego Bacharda na tém samém miejscu, na którém poległ.«

Niestety! Bachard już dawno jest zapomniany i nie mało już żołniérzy zluzowało się od tego czasu w twierdzy Maldoub; tylko jeden pies nigdy jéj nie opuszcza. Każdego wieczora przybywa on i usiada przed najodleglejszą strażą. Około północy wlecze się znowu smutny na trzech nogach do twierdzy. Żołniérze na straży będący nie zapominają nigdy przed nim broni prezentować, znają go wszyscy i zowią go: Azor waleczny, inwalid francuzki.

(L'Afrique française.)

ZAWIŚĆ ZAWSTYDZONA.

Michał Anioł Buonarotti, zaszczyt swego narodu, którego ogromny jeniusz uwiecznił się w dziełach rzeźbiarstwa, malarstwa, architektury, a nawet poezyi, był celem jadowitych pocisków nierozsądku, złości i samolubstwa, lękającego się, aby nowe słońce swojemi promieniami nie zgasiło słabego blasku ich dzieł, nie mających treściwéj wartości, gdy rzadkie zdolności jego już w porannym wieku zaczynały się rozwijać. Oburzany podstępami niegodnych swych spółczesnych, pomyślił o zemście i ułożył plan, którym zniewolił zawisnych, że go za artystę uznać musieli. Pewien bogaty i znakomity człowiek równie uprzedzony o swojém zdaniu, jak nieświadom kunsztu, pełen zarozumiałości i wzgardy dla jenialnego artysty, zamyślił okazałą zbudować wilę. W tém miejscu, które na wilę było przeznaczone, Bounarotti zakopał skrycie Kupidyna, dzieło swego dłuta, ale wprzódy odłamał mu po wyżéj kostek nogi i przechował je w swoim domu. Przy zakładaniu fundamentów znaleziono ten skarb szacowny. Mała liczba znawców kunsztu, ale nierównie większa liczba głupców za niemi potakujących, zdziwiła się nad pięknością znalezionego Kupidyna i ogłosiła go antykiem nieocenionéj wartości, godnym stanąć obok dzieł Fidiasza i Praxytela. Atoli właściciel

gruntu, do którego należał posąg według ustaw krajowych, martwił się niezmiernie, że Kupidyn utracił nogi, których mimo przekopania całego gruntu, nie można było wynaleźć; przyrzekł więc wielką nagrodę temu, ktoby Kupidynowi potrafił dorobić nogi; ale nikt się nie ważył do tak misternego dzieła dodawać własną robotę, ponieważ każdy słusznie się obawiał, iż robota jego w porównaniu z tém misterném dziełem, tylkoby się nikczémném wydała partactwem. Sam tylko Buonarotti podjął się uzupełnienia części, które zbywały; ale wyśmiany i wyszydzony od zarozumiałéj niewiadomości, nie przyjął jego oświadczenia właściciel mniemanego antyku, czego nawet chytry artysta się spodziéwał; mniemano bowiem powszechnie, lub też udawano na pozór, że człowiek mający tak dwuznaczną sławę artysty, na żaden sposób zadaniu temu odpowiedziéć nie zdoła. W tém Bounarotti wyjmuje z pod płaszcza nogi Kupidyna, żądając, aby mu je przyłożono. Nie można było sprzeciwić się temu żądaniu, a skutek okazał, że nie artysta odległych wieków, ale sam Buonarotti był twórcą tego posągu. Zawstydzona zawiść zamknęła usta, a tryumf wielkiego mistrza, równie jak jego sława, rozległy się wkrótkim czasie po całéj półwyspie.

NOWY WIATR.

Napoleon siedział przy śniadaniu, gdy z Bulonii przyniesiono depesze morskie. »Przeczytaj wćpan,« rzekł cesarz do Duroka. Wielki marszałek rozpieczętował depesze i czyta:

»»Eskadra dla odpłynienia czeka jeszcze tylko na wiatr *de Son Excellence*.««

»Cóżto ma znaczyć?« zapytał cesarz. Durok czyta powtórnie to samo z wielką powagą. Napoleon zachmurza czoło i wyrywa doniesienie z rąk Duroka; ale rzuciwszy na nie okiem, zaczyna się śmiać na głos i oddając mu depesze mówi: »No, czytaj wćpan daléj!«

Wielki marszałek wypełnia jego rozkaz i powtarza jeszcze po kilka razy: wiatr *de Son Excellence*, a cesarz za każdą razą parska od śmiéchu. Durok nie może tego pojąć, bo w doniesieniu nie było nic śmiesznego, aż nareszcie césarz objaśnia mu w ten sposób: że litery S. E. w raporcie morskim nie znaczą to samo, co oznaczają stojąc przed tytułami wielkich marszałków, i że *le vent de S. E.* nie znaczy wiatr Jego Excelencyi, lecz wiatr *Sud-Est* (południowo-wschodni).

NIE DAWAJCIE ODKOSZA!

W Niemczech nie jedna panna wiele rozdaje koszyków kawalerom. Tak upływa wiosna po wiośnie, rok po roku zabiéra po listku z kwiatu młodości, a męża jak nié ma, tak nié ma. Panna Natalija S. była najpiérwszą partyją w pewném mieście w Niemczech, lecz doszła już lat 27, a wszystkie jéj koleżanki szkolne już były przy mężach, którym ona dawniéj rozdawała koszyki. Natalija została starą panną. Rodzice zaczęli się niepokoić, i ona zaczęła wzdychać nad swoim stanem. Ale Natalija zatrzymała jeszcze swoję piękność i bogactwo. W tém przybywa jéj stryj z odwidzinami, jestto człowiek bogaty, wesoły, żywy, przyzwyczajony śmiało z zimną krwią przezwyciężać wszelkie trudności. »Zważaj, powiedział do niego pan S., Natalija nie idzie za mąż; widzisz, że jest piękną, jaki ma posag, że zły świat nawet w naszém lichém miasteczku nie może o niéj rozsiać jakiéj plotki, a jednak zostanie starą panną.« — »W saméj rzeczy,« odpowiada stryjaszek, »we wszystkiém na świecie trzeba baczyć na sposobny czas, co właśnie przez was zostało zaniedbaném; wprawdzie jestto nieszczęście, ale poruczcie mi pannę, a nim kwartał upłynie, ujrzysz ją przy boku równie młodego, jak bogatego męża.« Tak się i stało; panna pojechała ze swoim stryjem, który na drodze rzecze do niéj: »Słuchaj, już więcéj nie jesteś panną S., ale panią L*, młodą, bogatą i bezdzietną wdową; po 3 miesięczném pożyciu z swoim mężem utraciłaś go na polowaniu skutkiem spadnięcia z konia.« — »Ależ stryjaszku...« — »Dozwól mnie tylko działać; twój ojciec udzielił mi nieograniczonego pełnomocnictwa. Oto jest ślubna obrączka twojego nieboszczyka męża, pana L*, i odzwyczaj się od ciągłego spuszczania oczu.« Dowcipny stryjaszek wszędzie przedstawiał swoję krewnę i wszędzie młoda wdowa nadzwyczajne sprawiała wrażenie. Tłoczono się około niéj tak, iż rychło liczyła do 20 zalecających się. Stryjaszek doradził pojąć najzakochańszego, a przypadek właśnie zrządził, że ten ze wszystkich był najprzystojniejszym i najbogatszym. »Kochany panie,« rzecze do niego, »niecośmy cię oszukali.« — »Jakto? miałażby pani L* swoje serce...« — »Przeciwnie, ona cię szczérze kocha.« — »Więc ona nie jest tak bogatą, jak mi powiedziano?« — »Jeszcze jest bogatszą.« — »Cóż więc?« — »Mały żarcik, który mi kiedyś wpadł przy dobrym humorze, a który poźniéj nie mógł być odwołanym. Pani L* nie jest wdową?« — »Więc pan L* jeszcze żyje?« — »I to nie; ona jest panną.« Kochanek poprzysiągł, że jeszcze jest szczęśliwszym niż sobie wystawiał, i wkrótce ze staréj panny zrobiła się młoda żona.

— Ze Lwowa. —

Zaczęło tu wychodzić zeszytami dzieło pod tytułem: *Wieczory familijne, czyli: Powieści nauczające i dramy moralne*, zebrane z rozmaitych autorów zagranicznych, we czterech językach, mianowicie w języku polskim, jako krajowym, potrzebnym do rozmowy potocznéj; w języku niemieckim, w którym publiczne i przemysłowe sprawy się odbywają; w języku francuzkim, jako nowoczesnym języku cywilizacyi i w języku włoskim, jako języku muzykalnym, wydawane przez J. J. Szczepańskiego, nauczyciela języka polskiego przy lwowskiéj c. k. akademii realnéj i handlowéj, dla pożytku młodzieży obojéj płci. Wydawca założył sobie ten piękny cel w tém dziele, nie tylko dla swoich ziomków ułatwić naukę języków zagranicznych, a cudzoziemców obeznać nawzajem z językiem naszym, ale mianowicie młodzieży podać przez to skazówkę stylu, czyli praktyczny sposób szykowania wyrazów, to jest: sposób czystego i poprawnego tłumaczenia z obcego języka na swój własny. Pierwszy zeszyt obejmujący: 1) Prospekt dzieła; 2) *Pic de la Mirandola*, powieść z 15. wieku; 3) *Mały zarobnik*, dramat w jednym akcie, już wyszedł z druku.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego wyszedł trzeci arkusz druku i zawiera w sobie: Ciąg dalszy o gospodarstwie polowém; o zmarzniętych ziemniakach; o chowie koni (ciąg dalszy); o zakładzie naukowym domowéj fabrykacyi cukru; słodownia poprawiona Salomona.

Tom drugi pisma krajowego: *Lwowianin*, wydawanego przez Ludwika Zielińskiego, ma wyjść wkrótce u Piotra Pillera z druku.

W dodatku XXII. *Kwiatów czeskich* Nr. 44. z dnia 2. listopada b. r. znajduje się, w rozprawie: *O narodowym spiewie, a szczególnie greckim*, wiersz w narzeczu polskiem hr. Karśnickiego, o niezrównanym spiewie Homera, następujący:

»O spiewaku Achila, o boski Homerze!
»Nie z tobą idę w zawód, nie z tobą się mierzę;
»Bo któż dosięgnął sławy Krytheizy syna?
»Już nowe ludy dawnych zacierają slady,
»A jeszcze nikt nie zrównał wieszczowi Pallady,
»Nikt pieśni naśladować nie przejął sposobu:
»Pękły struny, a lutnię wziął Homer do grobu!«
A.

Hrabia Atanazy Raczyński, były poseł Króla Pruskiego przy dworze duńskim, brat zasłużonego w literaturze autora i wydawcy, napisał w języku francuzkim dzieło w dwóch tomach z atłasem, pod tytułem: *O sztuce malarskiéj tegoczesnéj w Niemczech.* Tom pierwszy téj przepysznéj edycyi, odbity staraniem i nakładem nadzwyczajnym w tłoczni Juliusza Renuara w Paryżu, dedykowany Wilhelmowi Szadow, fundatorowi akademii malarskiéj w Dusseldorfie, już jest w handlu za granicą. (G. Prn.)

Z Paryża. (Wyjmek z listu z d. 28. października.) W tutejszéj szkole sztuk i rzemiosł ukończył tego roku z największém wyszczególnieniem trzyletnie nauki Paweł Kaczanowski, były uczeń szkoły krzemienieckiéj. Jego odpowiedzi i projekta przez niego wypracowane rozmaitych budowli fabrycznych, sprawiły na obecnych popisowi najprzyjemniejsze wrażenie. Wszyscy profesorowie oddawali mu najchlubniejsze pochwały, a kiedy przyszła kolej na pana Dumas, profesora chemii, jednego z najpierwszych dzisiejszych chemików, ten oświadczył, że nie może dać p. Kaczanowskiemu rzetelniejszego świadectwa jego znajomości chemii, jak kiedy wstrzyma się od zadania mu jakiegobądź pytania, albowiem przekonany jest, że na wszystkie odpowiedziałby najdokładniéj. Piękniejszą pochwałę otrzymać, piękniéj pochwalić niepodobna! Trzeba na to uważać, że p. Kaczanowski odznaczył się nie tylko pomiędzy uczniami swego narodu, ale że żaden z licznych uczniów Francuzów, Włochów, Amerykanów, Hiszpanów, Portugalczyków, którzy w téj szkole nauki pobierali, takiéj, jak on, od profesorów swoich nie uzyskał pochwały. Młodzieniec ten przyjął teraz obowiązek profesora w szkole fabrykacyi cukru z buraków, którą towarzystwo paryzkie akcyjonaryjuszów otwiera z d. 1. listopada r. b. w Foulleuse, o dwie mile od Paryża i do któréj się zapisało kilkunastu jego ziomków. — P. Kopczyński ułożył informacyję pędzenia wódki sposobem w Polszcze używanym, dla jednego majętnego właściciela, zakładającego wielką gorzelnię w Mexyku. Pismo to wydrukowane zostało w dodatku do dziennika *Constitutionel* z d. 25. października r. b. *X. B.*

Z Drezna. Miejsce zmarłego koncercisty Rolla, jest jeszcze nieosadzone. Pochlebiają tu sobie, że będzie powołany na takowe sławny skrzypek Karol Lipiński, któremu słusznie należałby kierunek kapeli, już przeszło od wieku ustaloną wziętość w Europie mającej. (G. R.)

Chodniki paryzkie. (Z prywat. korespond.) Chodniki paryzkie przybierają teraz zupełnie nową postać, dzięki nowo wynalezionemu sposobowi ich wykładania. Uznano powszechnie, że ten nowy sposób lepiéj odpowie swemu celowi, niż najtrwalsze kamienie ciosowe i zwyczajne granity okrągłe, na bruk używane. Podstawa tych chodników, ile możności równa, wykłada się warstwą kamieni, na te idzie warstwa wapna, a na wapnie rozciąga się calowéj grubości warstwa roztopionéj massy, złożonéj ze smoły, z węgla kamiennego i krédy, do któréj dobiera się pewna część żwiru drobnego. Smoła roztopiona, rozlana na chodniku, łatwo daje się zrównać walcem żelaznym i jak tylko ostygnie, co zwykle w kilka minut następuje, nabiera nadzwyczajnéj twardości i stanowi ukończony chodnik. Francuzi nazwali tę massę *Asphalte*. Bruki asphaltowe mają przed innemi rzeczywiście tę korzyść, że są nadzwyczaj trwałe i równe; wygodniejsze dla pieszych, niż chodniki kamienne, mają jeszcze przed niemi to piérwszeństwo, że nie przepuszczają ani wilgoci, ani ziemi, nie mając na największéj przestrzeni, żadnego spojenia, żadnéj szpary. Jestto bruk ciągły, nie mogący być zastąpiony największemi i najlepiéj zespojonemi głazami kamiennémi. Utrzymanie czystości na chodnikach asphaltowych jest zatém bardzo łatwe, a uszkodzeniom cząstkowym zaradza mała ilość smoły. Jakoż kamienie ciosowe chodników bulwarowych i bruki, które jeszcze przed kilkoma laty uważane były za bardzo piękne i wygodne, ustępują dziś miejsca téj niezrównanéj massie asphaltowéj. Oprócz chodników, place publiczne i dziedzińce domów prywatnych, będą także asphaltowane, co zapobieży wyrastaniu trawy, nadającéj często pałacom widok smutny i opuszczony. Przez mieszanie z massą żwiru różnokolorowego, bruki i dziedzińce wydawać się będą, jak mozaiki. Plac *de la Concorde*, na którym postawiony jest obelisk, cały wyasphaltowany już w szachownicę, koła i piramidy, wydaje się, jak piękny salon. Szkoda, że massa asphaltowa pod wielkiemi ciężarami i podkowami ciężkich koni pęka i dla tego do dróg nie może być użyta. *X. B.*

Nowy romans Edwarda Lytton Bulwera pod tytułem: *Ernest Maltravers*, dedykowany jest narodowi niemieckiemu; dedykacyja ta jest następującéj treści: »Dzieło to poświęca autor, Anglik, narodowi niemieckiemu, narodowi pełnemu zdrowéj filozofii i krytyki, narodowi, na którego zdaniu polegać można, i który w objawieniu sądu swojego, umie być sprawiedliwym, szlachetnym i pobłażającym.«

Nazwy oficérskie w teraźniéjszém wojsku tureckiém. Jenerał dywizyi zowie się *ferik*, jenerał brygady *miralai*, a pułkownik *bing-baschi* (naczelnik nad tysiącem). Pułk ma tylko dwa bataliony, których majorowie *agami* lewego i prawego skrzydła są nazywani. Kapitan nazywa się *jus-baschi* (setnik), Po nim idzie jeszcze tylko jedna nazwa oficerska, mianowicie *mulasim*, czyli porucznik. Sierżant zowie się *czausz*, a kapral *on-baschi* (dziesiętnik). Każdy pułk ma czterech kapłanów, czyli *imanów*, którzy w zielonych szatach z dobytemi szablami za *bing-baszą* i na czele doboszów maszerują. Trzy razy na dzień występują żołnierze na modlitwę. *Mulasim* ma 150 piastrów miesięcznéj gaży (niemal 20 złr. m. k.) i tak stopniowo daléj.

Osobliwsza odpowiedź na wyzwanie. Pewien Amerykanin wyzwany był na pistolety i odpowiedział pisemnie: »Nie mogę się stawić, a to z dwóch powodów, bo ja mógłbym wćpana, a wćpan mógłbyś mnie zabić. Jak z jednego, tak z drugiego nicby dobrego nie wynikło. Idź wćpan do lasu, wyszukaj sobie drzewo, któreby było podobnéj mnie grubosci. Stań od niego na wystrzał z pistoletu. Jeżeli wćpan trafisz w to drzewo, przyznam, żem wćpana obraził i przeproszę go; jeżeli zaś chybisz, wtedy niesłuszność będzie na stronie twojéj.«

Biédny Józef. *(Z Impressions de voyage* przez Alex. Dumas.) Alexander Dumas, odbywając podróż w Szwajcaryi, szukał dla siebie przewodnika, dla zwidzenia okolicy, w któréj pod Zurichem stoczył bitwę Massena. Józef podjął się zaprowadzić tamże podróżującego. —»Czy już mieszkałeś w téj okolicy podczas téj bitwy?« — »Mieszkałem, i jak mnie pan widzisz, miałem sam udział w téj walce.« Wymówiwszy te słowa, odkrył Józef głowę, na któréj widać było bliznę zarosłą. — »Teraz ci wierzę; powiedzże mi, jak to było.« — »Powiém chętnie, mój panie!« Tu dopiero, na tém samém miejscu, gdzie zaszła była bitwa, zaczął Józef opowiadać: W wieczór przed rozpoczęciem bitwy był Józef przez jeden oddział wojska francuzkiego schwytanym i zaprowadzonym przed dowodzącego oficéra, który w te słowa go zapytał: »Czy znasz ty manowce po tych górach?« — »Znam, mój panie.« — »Więc nas poprowadzisz, aż ci stanąć rozkażę. Jeźli wrócimy i nie będziemy spostrzeżeni, dostaniesz dziesięć luidorów, ale jeźli się z Rossyjanami spotkamy, wtedy w łeb ci wypalę.« — Józef ośmielił się uczynić na to tę naturalną uwagę: »Wszakże to nie będzie moją winą, bo ja równie jak i pan nie wiém, gdzie się Rossyjanie znajdują.« — »Prowadź, a nie rezonuj!« odrzekł oficer surowo, a biedny Józef przestraszony, stanął na czele oddziału i wiódł go z największą ostrożnością tajnémi manowcami pomiędzy góry. To mu się z początku pomyślnie wiodło, lecz gdy weszli na tę samę płaszczyznę (o któréj Józef nie zapomniał, i na niéj pana Dumasa teraz zatrzymał), spostrzegł kapitan po swietle księżyca przed sobą w krzakach społyskujące się bagnety. Rossyjanie spostrzegli nieprzyjaciół podobnież, a oficér francuzki pamiętny swego przyrzeczenia, wyrwał najbliższemu żołniérzowi broń z ręki, wypalił w łeb Józefowi i poszedł naprzeciw nieprzyjaciela. Biédny Józef, który jako zabity pozostał w krzakach, słyszał jak spiesznym krokiem przechodzili koło niego żołniérze, słyszał strzelanie, szczęk szabel, chrzęst bagnetów, jęk i stękanie rannych i umierających, chciał się dźwignąć i zobaczyć, co się w około niego dzieje, ale krew płynąca z jego głowy zalała mu oczy, siły go opuściły, i stracił przytomność. Po niejakiéj chwili przyszedłszy do siebie, zobaczył się samotnym; w górach panowała spokojna cisza, księżyc rzucał blade światła promienie, Józef dotknął się zranionéj głowy, którą kula tylko mocno drasnęła, chłód wieczorny zatamował ciekącą krew i uczuł w sobie siły powrócenia do chaty. Powstał i znowu padł na ziemię, nareszcie, zebrawszy wszystkie siły i oglądając się bacznie na wszystkie strony, wlókł się jak mógł do domu. Rossyjanie i Francuzi już byli w oddaleniu, tylko zdeptana trawa i ślady krwie świéżo rozlanéj pokazywały drogę, która do nich wiodła. Józef, idąc ku krzakom, w których wprzódy Rossyjanie stali, widział po prawéj i po lewéj stronie trupów w rowach leżących, których to nogi, to ręce do góry sterczały, albo się porozrzucane ich czaka świéciły. Wszędzie panowała ta sama głęboka cisza, już ani jęków, ani stękania słychać nie było. Wszyscy usnęli snem śmiertelnym. Im bardziéj Józef zbliżał się do swojéj chaty, z tém większą trwogą spostrzegł, iż walka tém bardziéj zapalczywą była. Cóż się stało podczas téj rzezi z jego żoną, pomyślił sobie. Ile mu sił stało przyspieszył kroku, dla dowiedzenia się czém prędzéj o całém swém nieszczęściu. Trupy zalegające mu drogę, tém go niecierpliwszym czyniły; spiesząc odrzucił je na bok, by mu w przeszkodę nie były; tym sposobem przyszedł na czyste pole, gdzie najzaciętsza walka się odbywała, i tam na kupie trupów ujrzał ciało oficéra — Józef chce go pominąć, ale ciche westchnienie obiło się o jego uszy, schyla się mimo bolu swéj głowy do zranionego — poznaje, iż to ten sam kapitan, który do niego strzelił; pomimo dwóch głębokich ran w piersi, widzi jeszcze w nim znaki życia; stara się wziąć go na swoje barki, ale daremnie, za wiele jest osłabionym. Poznawszy jednak, że już nie daleko jest od swéj chaty, dał znak gwizdnieniem, dla dowiedzenia się, czy jeszcze żyje jego żona. Nieszczęśliwa, błąkając się po lesie, szukała swego małżonka, i posłyszawszy ten znak, natychmiast pospieszyła ku niemu; oboje biorą zranionego i niosą do swéj chaty. »Gdyby tylko przyszedł do siebie!« rzekł Józef, położywszy go na swém łożu. Żona wstrząsała wątpliwie głowę, jednakże jako goralka znała się na niektórych ziołach lekarskich, i mimo wątpliwości o dobrym skutku zajęła się z sumienną troskliwością leczeniem zranionego. Dzięki jéj pielęgnowaniu, oficer przyszedł do siebie, i z równém zadziwieniem jak przestrachem spojrzał w twarz Józefowi. Byćże to może, aby patrzył oko w oko temu samemu, którego zabił? Gdzież się z nim zeszedł, czy na tym, czyli na tamtym świecie?... Lecz Józef, nie zważając na to, oddał się radości, i zawołał tryumfującym głosem: »A widzisz panie kapitanie, żeśmy jeszcze obadwaj przy życiu! Teraz przyznasz zapewne, że to równie dla mnie jak dla ciebie wielkiém szczęściem było, żeś mnie całkiem nie zabił!« Co za szlachetny zarzut w swojéj prostocie! Któż się poszczyci, iż tak głęboko pojął boskie przykazanie, jak nasz biédny Józef!

* * *

Odwołanie. W Nrze 46. Rosmait. naszych donieśliśmy pod artykułem: »Człowiek nie żyje, aby jadł,« iż w szpitalu w Paryżu znajduje się młoda kobiéta, która od dwudziestu miesięcy nic nie jé, a prócz tego karmi piersią dziecię sześcio-miesięczne. Teraz się pokazało, iż w tém zachodziło oszukaństwo. Dla zapewnienia się o téj rzeczy zamknięto kobiétę do osobnego gabinetu, gdzie nikomu nie było wolno wchodzić, i stawiano jéj codziennie pewną ilość potraw na stole. Przez ośm dni zdawała się istotnie opierać wszelkiéj chęci jedzenia. Ale dnia dziewiątego uległa potrzebie natury, i jadła. A tak nadnaturalne zjawisko skończyło się na niczém!

Redaktor Jan Nep. Kamiński. *Druk Piotra Pillera, we Lwowie.*